

Kroki twojego dziecka mogą być ostatnim, co usłyszysz...

TESS GERRITSEN

Nosiciel



Prolog

TRANQUILITY W STANIE MAINE, 1946

Przecież jej nie znajdzie, jeśli ona będzie siedzieć cicho i nieruchomo. Pewnie myśli, że zna wszystkie jej kryjówki, ale nigdy nie odkrył tej sekretnej niszy, tego zagłębienia w ścianie piwnicy, za półkami, na których mama trzyma przetwory. Kiedy była mała, zawsze wślizgiwała się tu podczas zabawy w chowanego i chichotała cichutko, on zaś szukał jej we wszystkich pokojach. Czasem bawili się tak długo, że zasypiała w kryjówce i budziła się dopiero po kilku godzinach, słysząc pełne niepokoju wołanie mamy.

Teraz znów się tu wsunęła, w swoją piwniczną kryjówkę. Tylko że nie jest już dzieckiem. Ma czternaście lat i z trudem mieści się we wnęce. Ale tym razem nie chodzi o beztruską zabawę w chowanego.

Słyszała, jak szuka jej na górze. Miotał się po domu, przeklinając i rozwalając meble.

Błagam, błagam, niech ktoś nam pomoże. Niech ktoś go spłoszy.

Słyszała, jak wywrzaskuje jej imię: „Iris!”. Kroki rozlegały

się teraz w kuchni, zbliżały do drzwi piwnicy. Zacisnęła dłonie w pięści. Serce waliło jej jak młotem.

Nie ma mnie tu. Jestem daleko stąd, uciekam, lecę przez nocne niebo...

Drzwi do piwnicy otwały się gwałtownie, uderzając o ścianę. Na tle rozświetlonego otworu u szczytu schodów zarysowała się jego sylwetka.

Sięgnął do sznurka lampy i blask nagiej żarówki nieco rozjaśnił przepastną piwnicę. Kuląc się za rzędami słoików z domowymi przetworami z pomidorów i ogórków, Iris słyszała, jak schodzi po schodach. Każde skrzyknięcie przybliżało go do niej. Wcisnęła się głębiej we wnękę, niemal rozplaszczając się na kruszących się kamieniach i zaprawie, i zamknęła oczy, żałując, że nie może stać się niewidzialna. Poprzez głośne bicie serca słyszała, że zszedł na sam dół.

Niech mnie nie dostrzeże. Niech mnie nie dostrzeże.

Kroki rozległy się obok półek z przetworami i skierowały w odległy kąt piwnicy. Kopnął pudło. Puste słoiki rozbiły się na kamiennej podłodze. Teraz wracał i słyszała jego głośny oddech, przerywany jakby zwierzęcym charkotem. Ona sama oddychała płytko i szybko, a dłonie zacisnęła tak mocno, że omal nie pękły jej kości. Doszedł do półek z przetworami i się zatrzymał.

Otworzyła oczy i przez szczelinę między słoikami zobaczyła, że on stoi dokładnie naprzeciw niej. Zsunęła się niżej, skuliła jeszcze bardziej, usiłując się usunąć z jego linii widzenia. Sięgnął po słoik i cisnął nim o podłogę. Wokół rozszedł się ostry, octowy zapach pikli. Sięgnął po drugi słoik, potem nagle odstawił go z powrotem, jakby przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Odwrócił się i poszedł na górę, przed wyjściem pociągnawszy za sznurek wyłączający światło.

Znów znalazła się w ciemnościach.

Kroki na górze przeszły na front domu, a potem zapanowała cisza.

Czy wyszedł? Czy wreszcie sobie poszedł?

Trwała na miejscu bez ruchu, nie śmiejąc nawet drgnąć. Mijały minuty. Liczyła je powoli w myślach. Dziesięć. Dwadzieścia. Łapały ją skurcze, tak bolesne, że musiała zagryzać wargi, by nie jęczeć głośno.

Godzina.

Dwie godziny.

Wciąż żadnych odgłosów z góry.

Powoli wysunęła się z kryjówki. Stała w ciemnościach, czekając, aż krew znów zacznie krążyć w jej żyłach, aż do nóg wróci czucie. Nasłuchując, cały czas nasłuchując.

Nic nie słyszała.

W piwnicy nie było okna, nie wiedziała więc, czy na dworze wciąż jeszcze jest ciemno. Przeszła nad rozbitym szkłem i zbliżyła się do schodów. Wspinała się powoli, zatrzymując się na każdym stopniu i nasłuchując. Gdy w końcu dotarła na szczyt, jej dłonie były tak lepkie, że musiała je wytrzeć o bluzkę przed otwarciem drzwi piwnicy.

W kuchni paliło się światło i wszystko wyglądało zdumiewająco zwyczajnie. Mogłaby niemal uwierzyć, że horror ostatniej nocy był tylko koszmarnym snem. Ścienny zegar tykał głośno, wskazując piątą rano. Na dworze wciąż panowały ciemności.

Na palcach podeszła do drzwi kuchni i zajrzała do holu. Jeden rzut oka na rozbite meble i plamy krwi na tapetach powiedział jej, że nie śniła. Jej dłonie znów stały się lepkie od potu.

W holu nie było nikogo, a drzwi frontowe stały otworem.

Musi wydostać się z domu. Pobiec do sąsiadów, na policję.

Ruszyła przez hol. Każdy krok przybliżał ją do wolności.

Przerażenie wyostrzyło jej zmysły do tego stopnia, że rejestrowała każdą drzazgę leżącą na kwiecistym dywanie, każde tyknięcie kuchennego zegara. Dotarła już niemal do drzwi.

Minęła balustradę schodów i zobaczyła matkę leżącą na stopniach głową w dół. Nie mogła oderwać od niej wzroku. Długie włosy mamy spływały po schodach czarną kaskadą.

Poczuła mdłości. Rzuciła się do wyjścia.

Stał tam, trzymając w ręku siekiere.

Odwróciła się ze szlochem i pobiegła w górę po schodach. Mało brakowało, a poślizgnęłaby się na krwi matki. Słyszała, że on gna za nią na górę. Zawsze była od niego szybsza, a przerażenie dodało jej sił, więc mknęła jak spanikowany kot.

Na piętrze mignęło jej ciało ojca leżące w drzwiach sypialni. Nie było czasu, by o tym myśleć, by potworność tego, co się dzieje, mogła w pełni do niej dotrzeć. Dobiegła na górę i wpadła do pokoju w wieżycze.

W ostatniej chwili zatrzasnęła drzwi i zasunęła zasuwkę.

Ryknął z wściekłością i zaczął się dobijać do pokoju.

Rzuciła się do okna i otworzyła je. Spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że skok stąd byłby śmiertelny. Ale pokój miał tylko jedno drzwi.

Zerwała firankę. Lina. Muszę zrobić linę! Przywiązała jeden koniec materiału do rury kaloryfera, zdarła drugą firankę i dowiązała do pierwszej.

Rozległ się huk i poczuła uderzenie małego kawałka drewna. Zerknęła za siebie i z przerażeniem zobaczyła tkwiący w drzwiach czubek siekiery. Zaraz znikł, bo siekiere uniesiono do zadania kolejnego ciosu. Za chwilę rozwali drzwi!

Zerwała trzecią firankę i drżącymi rękami dowiązała do poprzednich.

Siekiera znów uderzyła. Szczelina w drewnie drzwi się

rozszerzyła, kolejne drzazgi poleciały do pokoju.

Szarpnęła czwartą firankę, ale gdy zawiązywała ostatni węzeł, wiedziała już, że lina nie będzie wystarczająco długa. Zrozumiała, że jest za późno.

Odwróciła się, by stanąć twarzą do drzwi. Siekiera przebiła je właśnie na wylot.

Rozdział pierwszy

TERAŻNIEJSZOŚĆ

— To się dla kogoś źle skończy — orzekła doktor Claire Elliot, wyglądając przez kuchenne okno. Nad jeziorem wisiała mgła gęsta jak dym, chwilami całkowicie zasłaniając nawet rosnące koło domu drzewa. Rozległ się kolejny strzał, tym razem bliżej. Claire od brzasku słyszała strzelaninę i prawdopodobnie będzie ją słyszeć aż do zmroku, ponieważ był właśnie pierwszy dzień listopada — początek sezonu łowieckiego. Gdzieś przez las przedzierał się na pół oślepiiony przez mgłę mężczyzna ze strzelbą, wyobrażając sobie, że wokół tańczą cienie saren o białych ogonach.

— Chyba nie powinieneś czekać na dworze na autobus — powiedziała Claire. — Odwiozę cię do szkoły.

Noah, ponury i zgarbiony, nie odpowiedział. Nabrał na łyżkę kolejną porcję płatków Cheerios i wsunął do ust. Miał czternaście lat, a wciąż jadł jak dwulatek — rozlewając mleko i krusząc grzanki. Nie patrzył na nią, zupełnie jakby napotkanie jej wzroku miało oznaczać spojrzenie w oczy Meduzy. Co za różnica, czy patrzy, czy nie, pomyślała smutno. Mój najdroższy syn zamienił się w kamień.

— Odwiozę cię do szkoły, Noah — powtórzyła.

— Nie trzeba. Pojadę autobusem. — Wstał, chwycił plecak i deskorolkę.

— Ci myśliwi nie widzą, do czego strzelają. Przynajmniej włóż pomarańczową czapkę, żeby cię nie wzięli za jelenia.

— Wyglądam w niej kretyńsko.

— Możesz ją zdjąć w autobusie. Włóż tylko na razie. — Zdjęła z półki zrobioną na drutach czapeczkę i podała synowi.

Spojrzał na czapkę, a potem w końcu przeniósł wzrok na nią. W ciągu ostatniego roku urósł kilkanaście centymetrów, więc byli teraz tego samego wzrostu. Gdy mierzyli się wzrokiem, żadne nie miało przewagi. Ciekawa była, czy Noah tak samo wyraźnie zdaje sobie sprawę z ich nowej fizycznej równości. Niegdyś mogła go przytulać, a on odwzajemniał jej uścisk. Teraz dziecko zniknęło, miękkie ciało stwardniało, obrósł mięśniami, twarz nabrała nowej wyrazistości.

— Proszę — powiedziała, wciąż trzymając czapkę w wyciągniętej dłoni.

W końcu westchnął, wziął czapkę i nacisnął ją na ciemne włosy. Powstrzymała uśmiech. Rzeczywiście wyglądał głupawo.

Ruszył już ku drzwiom, gdy zawołała:

— A buzi na do widzenia?

Odwrócił się z wymownym spojrzeniem, cmoknął ją lekko w policzek i już go nie było.

Żadnych pieścizot, pomyślała ze smutkiem, patrząc za nim przez okno. Teraz ma dla mnie tylko pomruki, wzruszenia ramion i chwile niezręcznego milczenia.

Zatrzymał się pod klonem na końcu podjazdu, ściągnął czapkę i stał z rękoma wbitymi w kieszenie, skulony z zimna. Bez kurtki, jedynie w cienkiej szarej bluzie przy zaledwie kilku stopniach powyżej zera. Marznięcie było szpanem. Zwalczyła

chęć, by wybiec za nim z kurtką.

Claire czekała tak do przyjazdu szkolnego autobusu. Jej syn wsiadł bez jednego spojrzenia za siebie. Widziała, jak idzie przejściem między siedzeniami i zajmuje miejsce koło jakiejś dziewczyny. Co to za dziewczyna? Nie znam teraz imion kolegów mojego syna, pomyślała. Zajmuję już tylko malutki kącik w jego świetle. Wiedziała, że tak musiało się stać — to odsuwanie się, ta walka dziecka o niezależność — ale nie zdążyła się do tego przygotować. Przemiana była tak nagła, jakby pewnego ranka z domu wyszedł miły chłopczyk, a wieczorem powrócił ktoś obcy. Jesteś wszystkim, co mi zostało po Peterze. Nie mogę stracić także i ciebie.

Autobus odjechał.

Claire wróciła do kuchni i usiadła nad filiżanką wystygłej kawy. Dom wydawał się pusty i cichy, jakby wciąż pogrążony w żałobie. Westchnęła i otworzyła miejscowy tygodnik „Tranquility Gazette”. „Obfitość zwierzyny płowej zwiastuje dobre łowy” — widniał tytuł na pierwszej stronie. Polowanie rozpoczęło. Trzydzieści dni, by ubić jelenia.

Od strony lasu dobiegł ją kolejny strzał.

Odwróciła stronę, szukając kroniki policyjnej. Nie było tam jeszcze mowy o wczorajszych rozróbach związanych z Halloween ani o aresztowaniu siedmiu nastolatków, którzy zbyt daleko posunęli się w płatanych tego dnia figlach. Za to wśród doniesień o zaginionych psach i skradzionym drewnie opałowym, pod nagłówkiem „Wykroczenia”, widniało jej nazwisko: „Claire Elliot, lat 40, prowadziła samochód bez ważnego świadectwa kontroli technicznej”. Wciąż jeszcze nie zawiozła swojego subaru na przegląd, więc dzisiaj, by uniknąć kolejnych nieprzyjemności, będzie musiała wziąć furgonetkę. Z irytacją przewróciła kolejną stronę i czytała prognozę pogody — zimno i wietrznie, najwyższa temperatura parę

stopni powyżej zera, możliwe przymrozki — gdy zadzwonił telefon. Wstała, by podnieść słuchawkę.

— Halo?

— Doktor Elliot? Mówi Rachel Sorkin z Toddy Point Road. Mam tu nagły wypadek. Elwyn właśnie się postrzelił.

— Co takiego?

— No wie pani, ten idiota Elwyn Clyde. Wkroczył bez pytania na mój teren, ścigając jakieś biedne zwierzę. Zabił je zresztą. Piękną sarnę, dokładnie przed moim domem. Och, ci głupi mężczyźni i ich głupia broń.

— A co z Elwynem?

— Potknął się i strzelił sobie w stopę. Dobrze mu tak.

— Powinien pojechać prosto do szpitala.

— Z tym jest właśnie problem. Nie chce jechać do szpitala i nie pozwala mi wezwać karetki. Chce, żebym jego i sarnę odwiozła do domu. A na to ja się nie zgadzam. Więc co mam z nim zrobić?

— Bardzo krwawi?

Usłyszała, jak Rachel woła:

— Hej, Elwyn! Elwyn! Krwawisz?

Po chwili Rachel znów podniosła słuchawkę.

— Mówi, że nic mu nie jest, chce tylko, żeby go odwieźć do domu. Ale ja go nie odwiozę, a już na pewno nie odwiozę tej sarny.

Claire westchnęła.

— Chyba przyjadę i zobaczę, co się da zrobić. Mieszka pani przy Toddy Point?

— Jakieś półtora kilometra za Skałami. Na skrzynce pocztowej jest moje nazwisko.

□ □ □

Mgła zaczynała opadać, gdy Claire skręciła w Toddy Point

Road. Między pniami sosen przeblyskiwało jezioro Locust, nad którym mgła unosiła się jak para. Promienie słońca zaczynały się już przez nią przebijać, rzucając złote plamy na wodę. Po drugiej stronie rysował się północny brzeg jeziora, ledwo widoczny przez snującą się jeszcze mgłę, zabudowany letnimi domkami, w większości zamkniętymi na zimę. Ich bogaci właściciele wrócili już do Bostonu lub Nowego Jorku. Claire jechała wzdłuż południowego brzegu, gdzie stały skromniejsze domy — niektóre z nich to po prostu dwuizbowe chatki ukryte wśród drzew.

Minęła Skały — granitowe bloki, przy których miejscowe nastolatki kąpały się latem — i wkrótce dostrzegła skrzynkę na listy z nazwiskiem Sorkin.

Do domu prowadził wyboisty podjazd. Sam budynek stanowił dziwną, kapryśną konstrukcję, z przypadkowo dobudowywanymi pokojami i narożnikami wystającymi w niespodziewanych miejscach. Nad tym wszystkim, niby przebijający przez dach czubek kryształu, wznosiła się przeszklona wieżyczka. Do ekscentrycznej osoby pasuje ekscentryczny dom, a Rachel Sorkin należała do niezwykłych postaci Tranquility. Była to czarnowłosa kobieta o uderzającym wyglądzie, która raz w tygodniu pojawiała się w mieście, owinięta w fioletową pelerynę z kapturem. Ten dom pasował do kobiety w kapturze.

Przy schodkach prowadzących na ganek, tuż koło zadbanego ziołowego ogródka, leżała zabita sarna.

Claire wysiadła z furgonetki. Z lasu natychmiast wybiegły dwa psy i zastąpiły jej drogę, szczekając i warcząc. Pilnując zdobyczy, uświadomiła sobie.

Na ganku pojawiła się Rachel.

— Wynoście się stąd, cholerne zwierzaki! — wrzasnęła. — Do domu!

Złapała stojącą na ganku miotłę i zbiegła po schodkach, z rozwianymi długimi, czarnymi włosami, trzymając ją przed sobą jak lancę. Psy się wycofały.

— Ha! Tchorze! — rzuciła Rachel, szarżując na nie z miotłą. Psy uciekły w las.

— Hej, zostaw w spokoju moje psy! — krzyknął Elwyn Clyde, który kulejąc, wyszedł na ganek. Elwyn stanowił znakomity przykład ślepej uliczki ewolucji: pięćdziesięcioletni kawał ciała obciążony flanelą, skazany na starokawalerstwo. — Nie robią nic złego, pilnują tylko mojej sarny.

— Elwyn, mam dla ciebie nowinę. Zabiłeś to biedne zwierzę na moim terenie. Więc jest moje.

— A po co ci sarna, ty przekłeta wegetarianko!?

— Jak tam twoja stopa, Elwyn? — przerwała Claire. Spojrzał na nią i zamrugał, jakby zdziwiony jej widokiem.

— Potknąłem się — powiedział. — Nic takiego.

— Rana postrzałowa to zawsze coś. Mogę popatrzeć?

— Nie mam czym zapłacić... — Przerwał i uniósł jedną brew, zdradzając, że wpadł na chytry pomysł. — Chyba że zechce pani trochę dziczyny.

— Chcę się tylko upewnić, że nie wykrwawisz się na śmierć, a rozliczymy się kiedy indziej. Mogę zobaczyć twoją stopę?

— Jak pani chce — odrzekł, zwracając do środka.

— To dopiero będzie frajda — zakpiła Rachel.

W kuchni było ciepło. Rachel dorzuciła do pieca brzoszowe polano. Słodki dym rozsnuł się po kuchni, zanim zamknęła z powrotem żeliwną pokrywę.

— Zobaczmy tę stopę — powiedziała Claire.

Utykając, Elwyn doszedł do krzesła. Zostawił na podłodze krwawe ślady. Miał na nodze skarpetkę. Koło dużego palca widniała dziura, jakby szczur wygryzł kawałek wełny.

— Wcale mnie nie boli — powiedział. — Moim zdaniem, nie warto się tak tym przejmować.

Claire przyklekła i zdjęła mu skarpetkę, która ściągała się wolno, bo do skóry przyklejały ją krew, pot i martwa skóra.

— Boże drogi, Elwyn! — Rachel zakryła nos dłonią. — Czy ty nigdy nie zmieniasz skarpetek?

Kula przebiła ciało na wylot między dużym a drugim palcem. Claire znalazła pod spodem ranę wylotową. Elwyn już prawie nie krwawił. Usiłując nie udusić się smrodem, sprawdziła, czy wszystkie palce się ruszają, i uznała, że żaden nerw nie został uszkodzony.

— Będziesz musiał oczyścić stopę i codziennie zmieniać bandażę — powiedziała. — I powinienesz się zaszczepić przeciw tężcowi.

— Już byłem szczepiony.

— Kiedy?

— Rok temu zaszczepił mnie stary doktor Pomeroy. Kiedy się postrzeliłem.

— Co roku ci się to przytrafia?

— Wtedy to była druga noga. Nic takiego.

Doktor Pomeroy zmarł w styczniu. Gdy osiem miesięcy temu Claire odkupiła jego praktykę, odziedziczyła także całą starą dokumentację medyczną. Może sprawdzić kartę Elwyna i datę ostatniego szczepienia.

— Chyba na mnie wypadło oczyszczenie tej stopy — oświadczyła Rachel z rezygnacją.

Claire wyjęła z torby lekarskiej małą buteleczkę betadyny.

— Proszę to dodać do wiadra ciepłej wody. Niech wymoczy stopę.

— Sam mogę to zrobić — powiedział Elwyn, wstając.

— W takim razie możemy ją od razu amputować! — ucięła Rachel. — Siadaj, Elwyn!

— O rany — westchnął i usiadł.

Claire położyła na stole kilka opakowań bandaży i gazy.

— Za tydzień przyjdź do mojego gabinetu, obejrzę, czy się goi.

— Mam za dużo roboty...

— Jeśli nie przyjdiesz, dopadnę cię.

Zamrugął ze zdumieniem.

— Dobrze, pani doktor — zgodził się pokornie.

Ukryła uśmiech, wzięła torbę lekarską i wyszła. Przed domem psy walczyły o brudną kość. Na widok Claire przestały i się najeżyły. Czarny zbliżył się do niej i warknął.

— Idź sobie — powiedziała Claire, ale zwierzę nie zareagowało. Podeszło jeszcze bliżej, szczerząc kły. Drugi pies dostrzegł swoją szansę. Złapał kość i rzucił się do ucieczki. Był już w połowie podwórka, gdy czarny zauważył kradzież i rzucił się w pościg. Szczekając i warcząc, psy tarzały się po podwórku niczym płowoczarna kula. Zapomniana kość leżała koło furgonetki Claire.

Claire otworzyła drzwi samochodu i wsuwała się już za kierownicę, gdy nagle uświadomiła sobie, co zobaczyła. Spojrzała na ziemię. Kość miała niecałe trzydzieści centymetrów długości i rdzawobrazowy kolor. Jeden koniec się odłamał, pozostawiając ostre szpikulce. Drugi koniec był cały i pozwalał rozpoznać, co to jest.

Była to kość udowa. Ludzka.

□ □ □

Lincoln Kelly, komendant policji w Tranquility, dogonił w końcu swoją żonę piętnaście kilometrów za miastem.

Jechała osiemdziesiątką skradzionym chevroletem, zamiatając tyłem od jednego brzegu drogi do drugiego. Obluzowana rura wydechowa nieciła iskry przy każdej

nierówności na drodze.

— Och, jak rany — powiedział siedzący obok Lincolna Floyd Spear. — Doreen dziś naprawdę odbiło.

— Cały ranek byłem na szosie — oznajmił Lincoln. — Nie miałem kiedy do niej zajrzeć. — Włączył syrenę z nadzieją, że to skłoni Doreen do zwolnienia. Zamiast tego kobieta dodała gazu.

— I co teraz? — spytał Floyd. — Mam wezwać posiłki?

Posiłki oznaczały Hanka Dorra, bo tylko on jeszcze patrolował tego ranka ulice.

— Nie — powiedział Lincoln. — Spróbuj ją namówić, żeby się zatrzymała.

— Przy dziewięćdziesiątce?

— Weź megafon.

— Hej, Doreen, zatrzymaj się! No, kochanie, zrobisz komuś krzywdę! — rozległ się przez megafon głos Floyda.

Chevrolet nadal jechał slalomem.

— Możemy poczekać, aż skończy jej się benzyna — zaproponował Floyd.

— Mów do niej.

— Doreen, Lincoln tu jest! No dalej, kochanie, zatrzymaj się! Chce cię przeprosić!

— Chcę co?!

— Zatrzymaj się, Doreen, niech sam ci to powie!

— O czym ty, do diabła, mówisz? — zdenerwował się Lincoln.

— Kobiety zawsze chcą, żeby mężczyźni je przepaszali.

— Ale ja nic nie zrobiłem!

W samochodzie przed nimi nagle zapaliły się światła stopu.

— Widzisz? — powiedział Floyd, gdy chevrolet zjechał na pobocze. Lincoln zatrzymał wóz patrolowy i wysiadł.

Doreen siedziała zgarbiona za kierownicą. Rude włosy miała

potargane, ręce jej się trzęsły. Lincoln otworzył drzwiczki, sięgnął przez żonę i wyjął kluczyki ze stacyjki.

— Musisz pojechać z nami na posterunek, Doreen — oznajmił zmęczonym głosem.

— Kiedy wrócisz do domu, Lincoln? — spytała.

— Później o tym porozmawiamy. No, kochanie, przesiądź się do mojego wozu. — Ujął ją za łokieć, ale strząsnęła jego dłoń i uderzyła ją.

— Chcę wiedzieć, kiedy wrócisz do domu — powtórzyła.

— Już wiele razy o tym rozmawialiśmy.

— Wciąż jesteśmy małżeństwem. Wciąż jeszcze jesteś moim mężem.

— Nie ma sensu dalej o tym mówić. — Znowu ujął ją za łokieć i już niemal udało mu się wyciągnąć ją z samochodu, gdy odsunęła się i wymierzyła mu cios w szczękę. Zatoczył się do tyłu, w głowie mu zaszumiało.

— Hej! — Floyd chwycił Doreen za ramiona. — Hej, co ty wyrabiasz!

— Puść mnie! — wrzasnęła. Wyrwała się Floydowi i znów zamierzyła się na męża.

Tym razem Lincoln zrobił unik, co tylko bardziej rozwścieczyło Doreen. Zamachnęła się jeszcze raz, zanim Lincolnowi i Floydowi udało się unieruchomić jej ręce.

— Niechętnie to robię, ale dziś nie można z tobą postępować po dobroci — powiedział Lincoln, zakładając żonie kajdanki. Plunęła mu w twarz. Wytarł się rękawem i cierpliwie usadził Doreen na tylnym siedzeniu wozu patrolowego.

— O rany — rzekł Floyd. — Wiesz, że będziesz musiał ją zarejestrować.

— Wiem — westchnął Lincoln, siadając za kierownicą.

— Nie możesz się ze mną rozwieść, Lincoln! — odezwała się Doreen. — Obiecałeś mnie kochać i wielbić!

— Ale nic nie wiedziałem o picciu — uciął, zawracając samochód.

Bez pośpiechu wracali do miasta. Przez całą drogę Doreen równo klęła. To wszystko przez picie. Alkohol odkorkowywał butelkę z dręczącymi ją demonami.

Lincoln wyprowadził się z domu dwa lata temu. Uznał, że poświęcił swojemu małżeństwu moc wysiłków i dziesięć lat życia. Poddawanie się nie leżało w jego naturze, ale w końcu rozpacz wzięła górę. Do tego doszło poczucie, że ma czterdzieści pięć lat, a życie, pozbawione radości i prowadzące donikąd, przemija nieuchronnie. Żałował, że nie potrafi dać Doreen tego, czego potrzebuje, że nie czuje już do niej tego, co czuł w początkach małżeństwa, gdy była wesoła i trzeźwa i nie poddawała się, tak jak teraz, atakom wściekłości. Czasem szukał w sercu śladów miłości, jakiejś iskry wśród popiołów, ale niczego nie znajdował. Popioły wystygły. A on był zmęczony.

Próbował ją wspierać, ale Doreen nie myślała na tyle jasno, by sobie samej pomóc. Co parę miesięcy, gdy poziom jej gniewu osiągał punkt wrzenia, piła przez cały dzień. Później „pożyczała” sobie czyjś samochód i wyruszała na jedną ze swych słynnych przejażdżek na pełnym gazie. Ludzie w miasteczku wiedzieli, że gdy Doreen Kelly siada za kierownicą, lepiej trzymać się z dala od drogi.

W komisariacie Lincoln zostawił Floydowi papierkową robotę i zamknięcie Doreen. Przez dwie pary drzwi dzielących go od celi słyszał, jak żona domaga się adwokata. Zapewne powinien jakiegoś wezwać, choć nikt w Tranquility, ba, nikt aż po Bangor nie chciał jej reprezentować. Usiadł przy biurku i przeglądał wizytówki, szukając nazwiska jakiegoś prawnika. Kogoś, do kogo nie dzwonił już od dłuższego czasu. Kogoś, komu nie przeszkadza, gdy klient go przeklina.

Za dużo spadło na niego od samego rana. Odsunął od siebie wizytownik i przeczesał palcami włosy. Doreen wciąż wrzeszczała w celi. Wszystko to znajdzie się w tej wścibskiej „Gazette”, a potem przedrukują to gazety w Bangor i Portland, ponieważ cały cholerny stan Maine uważa, że sytuacja jest śmieszna i niezwykła. Szef policji w Tranquility aresztuje własną żonę. Znowu.

Sięgnął po telefon. Wybierał właśnie numer adwokata Toma Wileya, gdy ktoś zapukał do drzwi. Lincoln uniósł wzrok i ujrzał wchodzącą do gabinetu Claire Elliot. Odłożył słuchawkę.

— Cześć, Claire — powiedział. — Masz już nalepkę kontroli technicznej?

— Jeszcze nie zdążyłam się tym zająć. Ale nie przyszedłam tu w sprawie samochodu. Chcę ci coś pokazać.

Położyła na biurku brudną kość.

— Co to takiego?

— Kość udowa.

— Co?

— Kość udowa. Chyba ludzka.

Przyglądał się pokrytej brudem kości. Jeden koniec był odłamany, a na reszcie widniały ślady zwierzęcych zębów.

— Gdzie to znalazłaś?

— U Rachel Sorkin.

— A skąd Rachel to miała?

— Psy Elwyna Clyde’a przyciągnęły to na jej podwórko. Nie wie skąd. Pojechałam tam rano, bo Elwyn postrzelił się w stopę.

— Znowu? — Lincoln wzniósł oczy do nieba i oboje wybuchnęli śmiechem. Jeśli każda wieś ma własnego błazna, to błaznem Tranquility był Elwyn.

— Wszystko z nim w porządku — powiedziała. — Ale ranę postrzałową należy chyba zgłosić.

— Uznajmy, że to zrobiłaś. Mam już całą teczkę na temat Elwyna i jego ran postrzałowych. — Wskazał krzesło. — A teraz opowiedz mi o tej kości. Czy jesteś pewna, że to ludzka?

Usiadła. Choć patrzyli sobie w oczy, czuł niemal namacalnie dzielącą ich barierę rezerwy. Było tak już od pierwszego spotkania, wkrótce po przybyciu Claire do miasta, gdy wezwano ją do skarżącego się na bóle brzucha więźnia, przebywającego w składającym się z trzech cel areszcie w Tranquility. Od początku budziła ciekawość Lincolna. Gdzie jest jej mąż? Dlaczego sama wychowuje syna? Nie odważył się jednak zadawać osobistych pytań, a ona nie zachęcała do bliższej znajomości. Zachowywała się sympatycznie, ale z rezerwą, i nie dopuszczała nikogo zbyt blisko. Szkoda, bo była ładną kobietą, niewysoką, lecz silną, z błyszczącymi oczyma i masą kręconych brązowych włosów, w których zaczynały pojawiać się pierwsze srebrne nitki.

Pochyliła się i oparła dłonie na biurku.

— Nie jestem żadnym ekspertem — powiedziała — ale nie wiem, od jakiego innego zwierzęcia mogłaby pochodzić ta kość. Sądząc po wielkości, wygląda na kość dziecka.

— Czy zauważyłaś tam jakieś inne kości?

— Przeszukałyśmy z Rachel podwórze, ale nic nie znalazłyśmy. Psy mogły ją przyciągnąć gdzieś z lasu. Będziesz musiał przeszukać cały rejon.

— Może pochodzić z dawnego indiańskiego miejsca pochówku.

— Niewykluczone. Ale czy i tak nie powinien jej zbadać specjalista? — Nagle odwróciła się i przechyliła głowę. — Co to za zamieszanie?

Lincoln się zarumienił. Doreen znów wrzeszczała w celi.

— Niech cię diabli wezmą, Lincoln! Ty bydlaku! Ty kłamco! Będziesz się smażył w piekle!

— Coś mi się wydaje, że ktoś cię nie lubi — zauważyła Claire.

Westchnął i przycisnął rękę do czoła.

— To moja żona.

W spojrzeniu Claire pojawiło się współczucie. Najwyraźniej знаła jego problemy. Wszyscy w mieście je znali.

— Tak mi przykro — powiedziała.

— Hej, ty fajtłapo! — krzyczała Doreen. — Nie masz prawa mnie tak traktować!

Z wysiłkiem skupił uwagę na kości.

— Ile lat, twoim zdaniem, miała ofiara?

Ujęła kość i obróciła w rękach. Przez chwilę trzymała ją z szacunkiem, w pełni świadoma, że należała niegdyś do śmiejącego się, biegającego dziecka.

— Była młoda — mruknęła. — Chyba nie miała dziesięciu lat. — Odłożyła kość na biurko i dalej przyglądała jej się w milczeniu.

— Ostatnio nie zgłaszano zaginięcia żadnych dzieci — powiedział. — Te okolice są zamieszkane od setek lat i ciągle pojawiają się jakieś kości. Sto lat temu często młodo umierano.

Zmarszczyła brwi.

— Nie wydaje mi się, by to dziecko umarło z przyczyn naturalnych — rzekła cicho.

— Dlaczego tak sądzisz?

Wyciągnęła rękę, by włączyć lampkę na biurku. Podsunęła kość pod światło.

— Spójrz tutaj. Tyle na niej brudu, że trudno to dostrzec.

Sięgnął do kieszeni po okulary — kolejny znak mijających lat i odchodzenia młodości. Nachylił się, usiłując dojrzeć to, co Claire wskazywała. Dopiero gdy paznokciem zdrapała górną warstwę, dostrzegł klinowate nacięcie.

Był to ślad siekiery.